



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

GNI EW

To jest darmowy fragment powieści.

Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PONIEDZIAŁEK, 25 LISTOPADA 2013

Naukowcy udowadniają na myszach, że można całkowicie wyeliminować męski chromosom Y bez szkody dla zdolności prokreacyjnych. Seksmisja staje się właśnie naukowo możliwa. Świat żyje sprawą Ukrainy, której władze ostatecznie oświadczyły, że nie podpiszą umowy stowarzyszeniowej z Unią. W Kijowie 100 000 osób wychodzi na ulice. Międzynarodowy Dzień Eliminacji Przemocy wobec Kobiet. Statystyki mówią, że 60 proc. Polaków zna co najmniej jedną rodzinę, gdzie kobieta jest ofiarą przemocy, a 45 proc. żyje lub żyło w rodzinie, w której doszło do przemocy. 19 proc. jest zdania, że nie istnieje coś takiego jak gwałt w małżeństwie, a 11 proc., że uderzenie żony lub partnerki to nie przemoc. Pendolino w czasie testów bije w Polsce kolejowy rekord prędkości: 293 km/h. Kraków, trzecie najbardziej zanieczyszczone miasto Europy, zakazuje palenia węglem. Mieszkańcy Olsztyna wypowiadają się, co im jest w mieście najbardziej potrzebne: ścieżki rowerowe, hala sportowa i ważny festiwal. I nowe drogi, żeby pokonać zarazę korków. Zadziwia niskie poparcie dla sieci tramwajowej, flagowej miejskiej inwestycji. Wiceprezydent tłumaczy: „Wydaje mi się, że wielu ludzi dawno nie jeździło nowoczesnym tramwajem”. Trwa warmińska jesień, jest szaro i brzydko, bez względu na wskazania termometru wszyscy czują tylko to, że jest cholernie zimno. W powietrzu wisi mgła, a na ulicy zamarza mżawka.

Prokurator Teodor Szacki nie uważał, że ktokolwiek zasługuje na śmierć. Nigdy. Nikt, niezależnie od okoliczności, nie powinien nikomu zabrać życia, ani wbrew prawu, ani zgodnie z jego literą. Wierzył w to głęboko od zawsze, odkąd pamiętał, i teraz, stojąc na światłach na skrzyżowaniu Żołnierskiej i Dworcowej, po raz pierwszy poczuł, jak jego dogmat się chwieje.

Z jednej strony bloki, z drugiej szpital, *vis-à-vis* szpitala jakieś pawilony, na których olbrzymi baner reklamuje „kiermasz skór”. Przez chwilę Szacki zastanawiał się, czy tylko w jego prokuratorskiej głowie to brzmi dwuznacznie. Typowe skrzyżowanie w wojewódzkim mieście, dwie ulice przecinające się tylko dlatego, że gdzieś muszą, nikt tu nie zwalnia, żeby podziwiać widoki za oknem, ludzie przejeżdżali i tyle.

To znaczy nie przejeżdżali. Dojeżdżali, zatrzymywali się i stali jak barany, czekając na zielone światło, przez ten czas stopy wrastały im w pedały, siwe brody rosły i układały się na kolanach w sterty, a na końcach palców pojawiały się krogulcze paznokcie.

Kiedy zaraz po przeprowadzce przeczytał w „Gazecie Olsztyńskiej”, że osobnik zarządzający ruchem w mieście nie wierzy w zieloną falę, bo wtedy ludzie się za bardzo rozpędzają, co stwarza zagrożenie w ruchu drogowym, pomyślał, że to nawet śmieszny żart. To nie był żart. Wkrótce dowiedział się, że w tym niewielkim koniec końców mieście, które na piechotę można przejść w pół godziny i gdzie komunikacja odbywa się szerokimi ulicami, wszyscy bez przerwy stoją w korkach. I – tu trzeba oddać urzędnikowi sprawiedliwość – co prawda groziła im apopleksja, ale przynajmniej nie stwarzali zagrożenia dla innych uczestników ruchu.

Na dodatek nie wierzono, aby mieszkańcy Olsztyna potrafili normalnie skrócić w lewo, przepuszczając najpierw jadące z naprzeciwka samochody. Dlatego, w trosce o ich bezpieczeństwo,

na prawie każdym skrzyżowaniu było to niedozwolone. Każda ulica trafiająca do skrzyżowania dostawała po kolei zielone światło dla siebie, podczas gdy reszta grzecznie stała i czekała.

Bardzo długo stała i czekała.

Dlatego Szacki głośno zaklął, kiedy przy Dworcowej dwieście metrów przed jego Citroënem zapaliło się żółte. Nie było szans, żeby zdążył. Zatrzymał się, wrzucił na luz i westchnął ciężko.

Z nieba leciał jakiś warmiński szajs, ani deszcz, ani śnieg, ani grad. To coś zamarzało, gdy tylko spadło na szybę, i nawet najszybciej latające wycieraczki nie potrafiły zwyciężyć tajemniczej substancji. Płyn do spryskiwacza jedynie się rozmażywał, Szacki nie mógł uwierzyć, że żyje w miejscu, gdzie takie zjawiska atmosferyczne są możliwe.

Żałował, że Polska nie ma zamorskich kolonii, zostałby prokuratorem na jakiejś rajskiej wyspie i tam ścigał leciwe emerytki za to, że nakłaniają kelnerów i nauczycieli rumby do poddania się czynności seksualnej. Chociaż – znając jego szczęście – jedyna polska zamorska kolonia byłaby zapewne wyspą na Morzu Barentsa, gdzie emerytów nie ma, bo nikt nie dożywa czterdziestki, a kelnerzy trzymają wódkę w zamrażarce, żeby nie zamarzła.

Dla rozrywki zaczął sobie wyobrażać, co zrobiłby z olsztyńskim inżynierem ruchu. Na ile sposobów by go ukarał, jaki ból zadał. To wtedy właśnie jego dogmat o nieuśmiercaniu zaczął trzeszczeć, bo im bardziej wyrafinowane tortury Szacki wymyślał, tym większą czuł radość i satysfakcję.

Przejechałby na czerwonym, gdyby nie to, że jako prokurator nie mógł normalnie dostać mandatu, zapłacić i zapomnieć. Złapany przez drogówkę musiał się niestety przyznać do swojej profesji, a policja musiała wysłać do przełożonego informację o zdarzeniu i poprosić o ukaranie pirata w todze. Zazwyczaj kończyło się na upomnieniu, ale zostawało w aktach, zabagniało historię służby i w zależności od złośliwości przełożonego

mogło się odbić na pensji. A Szacki miał wrażenie, że w nowej pracy i tak go nie kochali, wołał się nie podkładać.

W końcu ruszył, przejechał obok szpitala, minął burdel i starą wieżę ciśnien i łagodnym łukiem wjechał – odstawszy swoje na światłach – w ulicę Kościuszki. Tutaj już było na czym oko zawiesić, przede wszystkim na budzącym respekt ogromnym Sądzie Administracyjnym, wybudowanym niegdyś jako urząd rejencji olsztyńskiej w Prusach Wschodnich. Gmach był wspaniały, majestatyczny, dostojny, pięciopiętrowe morze czerwonej cegły na wymurowanym z kamiennych ciosów parterze. Gdyby to od Szackiego zależało, umieściłby w tym budynku wszystkie trzy olsztyńskie prokuratury. Uważał, że to nie jest bez znaczenia, czy świadków wprowadza się po szerokich schodach do takiego gmachu, czy do biedabudyneczku z lat siedemdziesiątych, gdzie mieścił się jego rejon. Klienci powinni wiedzieć, że państwo to majestat i siła na kamiennym fundamencie, a nie oszczędności, niedoróbki, prowizorki, lastryko i olejna do wysokości lamperii.

Prusacy wiedzieli, co robią. Urodził się w Warszawie i na początku irytowała go atencja olsztynian do budowniczych ich małej ojczyzny. Jemu Niemcy niczego nie zbudowali. Zamienili stolicę w kupę gruzów, dzięki czemu jego miasto stało się żałosną karykaturą metropolii. Nigdy ich nie kochał, ale trzeba było oddać sprawiedliwość: wszystko, co w Olsztynie ładne, co nadało temu miastu charakter, co sprawiało, że było interesujące nieoczywistą urodą twardej i zahartowanej kobiety z Północy – wszystko to zbudowali Niemcy. Cała reszta była w najlepszym razie obojętna, najczęściej jednak brzydka. A w nielicznych wypadkach tak szpetna, że stolica Warmii raz po raz stawiała się pośmiewiskiem Polski ze względu na architektoniczne koszmarki, jakimi ją upiększano z uporem godnym lepszej sprawy.

Miał to gdzieś, ale gdyby był starym Niemcem, odbywającym podróż sentymentalną do krainy dzieciństwa, chyba by się popłakał.

Jadąc Kościuszki, przeciał Piłsudskiego, skreślił w Mickiewicza, minął Kopernika i znalazł miejsce do parkowania przy Dąbrowszczaków. Wysiadając, pomyślał zgryźliwie, że jak w każdym mieście na Ziemiach Odzyskanych ulicom nadano bardzo narodowe nazwy, znaleźć gdzieś tutaj skrzyżowanie Szewskiej z Kotlarską było niemożliwością.

Liceum, do którego zmierzał, nosiło imię, jakże by inaczej, Adama Mickiewicza. Ale pierwsze roczniki się tutaj o polskim wieszczu narodowym nie uczyły, tylko o Goethem i Schillerze. Ponownie pomyślał, że miejsce ma znaczenie, patrząc na ponure dziewiętnastowieczne gmaszysko z czerwonej cegły. Byłaby to zwyczajna, duża poniemiecka szkoła, gdyby nie neogotyckie elementy wystroju – ostre szczyty, oculusy i ogromne okna w centralnej części budynku. Dodawało to gmachowi surowego, kościelnego charakteru, wyobrażnia podsuwała scenerię horroru o eksperymencie dydaktycznym, w którym wszystko poszło nie tak. Siostry zakonne z zaciśniętymi ustami, dzieci siedzące bez ani jednego słowa w identycznych mundurkach, wszyscy udają, że nie słyszą zwierzęcych wrzasków kolegi, który po raz trzeci zgłosił nieprzygotowanie. Nikt go nie bije, nie. Po prostu musi spędzić jedną godzinę lekcyjną sam w małym pokoju na poddaszu. Nic się tam nikomu jeszcze nie stało. Ale też nikt nie wrócił stamtąd taki sam. Siostry nazywają to „korepetycjami”.

– Prokurator Szacki?

Przez chwilę patrzył nieprzytomnie na stojącą przed nim w drzwiach do szkoły kobietę.

Skinął głową i uściśnął wyciągniętą rękę.

Nauczycielka poprowadziła go przez szkolne korytarze. Wnętrze nie wyróżniało się niczym szczególnym, poza tym, że niektóre elementy – zwieńczone łagodnymi łukami otwory drzwiowe, grube mury, drewniane drzwi podzielone w charakterystyczny sposób na kwadraty i prostokąty – przypominały mu wakacje z rodzicami, które spędzał nad morzem w poniemieckiej chałupie nieopodal Koszalina. Pewnie czuć by tu było ten sam

zapach starych ceglanych murów, gdyby nie łaskocząca w nosie mieszanka nastoletnich hormonów, dezodorantów i pasty do podłogi.

Nie zdążył się zastanowić, czy tęskni za licealnymi czasami i czy chciałby znowu przechodzić piekło młodości, kiedy weszli do auli, gdzie zgromadzeni uczniowie oklaskami nagradzali trzy kobiety w różnym wieku, które skończyły dyskusję na podwyższeniu i stały uśmiechnięte.

– Ma pan przygotowane jakieś krótkie przemówienie? – spytała szeptem nauczycielka. – Młodzież bardzo na to liczy.

Potwierdził, myśląc, że nawet kodeks karny pozwala kłamać we własnej sprawie.

2

Tymczasem w okolicach Olsztyna, nie bardzo blisko i nie bardzo daleko, w niewyróżniającym się niczym domu przy ulicy Równej zwyczajna kobieta, tak zwyczajna, że wręcz statystyczna, pograżyła się w niewesołych myślach na własny temat. Właśnie doszła do wniosku, że była do bani już w momencie narodzin. Ponieważ wcześniej miała całe dziewięć miesięcy, żeby oddalić się od perfekcyjnej siebie. Tak to sobie wyobrażała, że może jeszcze w chwili poczęcia wskazówka na jej manometrze na boskiej tablicy stała pośrodku zielonego pola i nagle drgnęła, zupełnie nie w tę stronę co trzeba. Nie na tyle, żeby była chora, upośledzona czy głupia – nic z tych rzeczy. Po prostu wskazówka drgnęła i przesunęła się z zielonego na pomarańczowe. I kiedy pierwsza komórka – kto wie, może jeszcze naprawdę fajna – podzieliła się na dwie, to były to dwie pierwsze części niedoskonałej jej. Potem już poszło z górki i w momencie narodzin składała się z tak olbrzymiej ilości parszywych komórek, że szkody były nieodwracalne.

Lista niedoskonałości ciągnęła się w nieskończoność i paradoksalnie łatwiej było jej znieść te psychiczne, bo o nich wiedziała

tylko ona. Brak cierpliwości. Brak systematyczności. Brak koncentracji. Brak empatii. Brak instynktu macierzyńskiego, ten chyba bolał ją najbardziej. Znajomym powtarzała, że co ona poradzi, że tylko własne dziecko znieść potrafi, tylko własne nie działa jej na nerwy. Wszyscy się śmiali, ona też się śmiała, ale nie z tego, co powiedziała, tylko z tego, że to głównie prawda – własne dziecko najbardziej jej działało na nerwy. Nawet kiedy nie miała lustra, wystarczyło, że spojrzała na kwadratowego bachora z małymi oczkami, żeby zobaczyła siebie, wszystkie swoje sparszywiałe geny, wyprodukowane przez sparszywiałe komórki.

No właśnie, małe oczka. Ciężko je ukryć. Włosy jeszcze od biedy można ufarbować i ułożyć, wąskie usta powiększyć, spiczaste uszy zakryć. Ale małe oczka? Nie było takiego makijażu, który by zamienił te schowane głęboko w oczodołach ślipka w piękne migdałowe oczy. Takie oczy, które by ją ocaliły, żeby mogli mówić: w sumie nic specjalnego, ale te oczy, no naprawdę z przodu stała, jak Bozia dawała. Cóż, nie stała z przodu.

Oczu nie dało się ukryć, figury też nie, na figurę nawet ciemnych okularów się nie założy. Ta figura bolała ją najbardziej. Nic jej nie wyróżniało. Jakby była bardzo szczupła – to takie mają swoich fanów. Bardzo obfita – też. Z ogromnymi piersiami – legion by się za nią oglądał. A on mógłby mówić: ech, te moje cyce, cyce moje kochane. Ale nie, ona była kwadratowa, prostokątna raczej. Bez bioder i bez talii, z nogami jak chłopska baba, co to można na nich stać cały dzień. Niby nie była płaska, ale chwycić też nie było za co, otyli faceci czasami mają takie cycki. I te ramiona, jakby cały czas nosiła bluzkę z poduszkami, w latach dziewięćdziesiątych takie były modne.

Próbowała właśnie dobrać długą spódnicę i sweter, żeby jakoś tak wyszło, że ma talię i biodra. Bardzo jej dziś zależało, żeby wyglądać ładniej niż zwykle. Żeby coś mieć specjalnie dla niego, żeby wiedział, że to nie była pomyłka.

Z salonu dobiegło zawodzące wycie. Jakże by inaczej, przecież już kwadrans się nim nie zajmuje, jakby umiał, toby

pewnie na niebieską linię zadzwonił. Rzuciła sweterek na półkę pod lustrem i pobiegła do dziecka. Mały klęczał przy kanapie z głową schowaną w poduszki i płakał.

- Co się stało?
- Nie ce.
- Czego nie chcesz?
- Nie. – Pokazał na telewizor.
- Nie chcesz tej bajki?
- Nie.
- Chcesz inną bajkę?
- Nie.
- Boba?
- Nie.
- Franklina?
- Nie, nie, nie!

Już się śmiał, uznał, że to świetna zabawa. A łzy mu jeszcze nie wyschły na policzkach. Podobno dzieci tak mają, potrafią w ułamku sekundy zapomnieć złe emocje. Nie wiedziała, jaki hormon był za to odpowiedzialny, ale powinni go wyodrębnić i sprzedawać w tabletkach. Wiadro by takich kupiła.

- Zebrę?
- Nie.
- Niebieskiego misia?
- Nie.
- Chuja pierdolonego w galarecie? – Ton jej głosu nie zmienił się ani o tysięczną oktawę.
- Nie. Cika.

Roześmiał się tak słodko, jakby rozumiał, o co jej chodzi. Potarła twarz dłońmi. Naprawdę, cudowna z niej matka. W końcu włączyła cokolwiek, bo nie pamiętała, gdzie jest płyta z Krekiem, na szczęście akurat były reklamy, które działają na małe dziecko jak strzał heroiny. Mały zastygł z półotwartymi ustami, a ona spojrzała na zegarek i poszła wrzucić naleśniki z serem do mikrofal.

Nie wie, co się dzieje z tym czasem, godzinę temu już powinien zjeść obiad. I w ogóle powinna coś zrobić. Siedzi cały dzień w chałupie, a jak on wróci, to ma do zaoferowania naleśniki sprzed dwóch dni z mikrofali. Nawet jak do tego zrobi bitą śmietaną i rozmrozi maliny, to ciągle będą to naleśniki sprzed dwóch dni.

Co powie? Przepraszam, najdroższy, cały dzień usiłowałam dobrać takie ubrania, żebyś nie poznał, że twoja żona nie ma talii.

Poczuła, jak w gardle panika rośnie jej jak trzeci migdał. Z trudem przełknęła ślinę. Czemu czegoś nie robi? Czemu jest taka nic niewarta? Taka – on naprawdę potrafi ująć to w słowa – rozmemłana. Dokładnie tak, rozmemłana, każda sylaba w tym słowie brzmi jak policzek: roz-mem-ła-na. Pierwszy siarczysty, z zaskoczenia, ostatni mlaskający, taki bez przekonania.

Dlaczego czegoś nie robi? Ma cudownego synka, cudownego męża, dom pod lasem, nie musi pracować, tylko służby jej do pełni szczęścia brakuje. Weź się w garść, kobieto. Weź małego, pojedź do Lidla i zrób jakąś kolację porządną. Dokładnie tak!

Wyjęła z mikrofali naleśnika, wrzuciła syna do plastikowego fotelika do karmienia, natychmiast się rozplakał, nie lubił, kiedy coś robić gwałtownie. Pocałowała go w czoło i ustawiła fotelik przodem do telewizora, nie miała czasu na prawidłowe wychowanie, jeśli miała zdążyć ze wszystkim. Pokroiła naleśnika na kawałki i poleciała do lustra, z pięć minut będzie jadł, przez ten czas się ubierze i podmałuje trochę.

– Nie ce! – doleciało z jadalni.

– Chcesz, chcesz, pyszny naleśniczek, jedz sam jak duży chłopiec, pójdziemy na spacer za chwilę.

Robiła w głowie listę zakupów. Prosto, efektownie i szybko. Wołowina z patelni grillowej, sos ze śmietany i sera pleśniowego. Do tego purée. Tak naprawdę ziemniaki z wody i blendera, a można ładnie ułożyć, jak w knajpie wygląda. U każdego na talerzu zrobi z tego purée inicjał imienia. Mały też na pewno

chętnie zje, każdy facet lubi ziemniaki, proste. Jakaś zielenina, nie sałata z torebki, nie cierpi tego. Zielony groszek, zielony groszek z majonezem. Część groszku zostawi, na tym purée jakiś wzorek robi.

Już w butach poleciała do jadalni, jeszcze zabrała kombinezon małego, żeby już nie latać.

To, co zastała na miejscu, ciężko jest opisać słowami.

Jej synowi udało się wycisnąć twarożek z każdego kawałka naleśnika. A potem rozsmarować po sobie, po foteliku, po stole, a co gorsza, na pilocie. Wypasionym pilocie, gwiazdkowym prezencie, który można było programować i potem jednym obsługiwać telewizor, dekodery Cyfry, DVD i wieżę. Czarny designerski przedmiot z dotykowym ekranem teraz wyglądał jak ulepiony z twarożku. Mały celował nim w telewizor.

– Cika.

Zakręciło jej się w głowie. Uklękła przy foteliku, kolano poślizgnęło się na kawałku naleśnika.

– Posłuchaj mnie, synku, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia – zaczęła spokojnie. – Jesteś pierdolonym, złośliwym, złym bachorem. I cię nienawidzę. Nienawidzę cię tak mocno, że mam ochotę urwać ci twój łysy łeb i postawić go na półce z pluszakami obok jebanego, poddającego się Niemcom bez jednego wystrzału, cwelowatego Krecika. Rozumiesz?

– Cika?

Patrzyła na niego długą chwilę i w końcu parsknęła śmiechem. Zrozumiał, nie ma co. Podniosła go i przytuliła, myśląc o tym, że jej specjalny sweter od „projektu talia” nadaje się tylko do prania. Trudno.

Nie chciał tu być, nienawidził takich imprez, miejsce prokuratora było w gabinecie, na sali sądowej albo tam, gdzie dokonano zbrodni. Każda inna działalność marnotrawiła pieniądze

podatnika, który płacił im pensje za stanie na straży porządku prawnego. Nie za przecinanie wstęg, bywanie i lansowanie się przed młodzieżą licealną. Ale ktoś uznał, że trzeba ocieplić wizerunek prokuratury, i prośba z olsztyńskiego liceum o wręczenie nagrody za pracę o przeciwdziałaniu przemocy nie została uprzejmie odrzucona. Została entuzjastycznie przyjęta, a on wytypowany na przedstawiciela urzędu. Nie zdążył zaprotestować, kiedy szefowa uprzedziła jego pytanie, mówiąc: „Wiesz, dlaczego wysyłam do normalnych ludzi takiego zręczliwego, socjopatycznego mizantropa jak ty?”. Od razu uprzedziła też jego odpowiedź: „Bo jako jedyny wyglądasz na prokuratora”.

O przemawianiu nie wspomniała.

– Dziękujemy wam za wszystkie prace – nauczycielka, która go przywitała, przemawiała do młodzieży z belferską rutyną – i za wysiłek, który w nie włożyliście. Podziwiam wasze zaangażowanie i altruizm, ponieważ nie wierzę złośliwym plotkom, jakoby wielu z was robiło to tylko po to, aby wyzebrać lepszą ocenę z zachowania.

Wybuch śmiechu.

– Mam nadzieję, że moja klasa poinformowała was wszystkich, że przy tej ocenie liczy się trzyletni całokształt, a nie jednorazowe zrywy.

Teatralny jęk zawodu.

Szacki rozejrzał się po auli i poczuł ukłucie nostalgii. Niekoniecznie za czasami, kiedy był młody. Raczej za czasami, kiedy nie był zgorzkniały. Udawał zgryźliwego cynika od ogólniaka, ale wszyscy ci, którzy go wtedy znali, rozumieli świetnie, że to poza. Dziewczyny ustawiały się w kolejce do wrażliwego intelektualisty, który ukrył się przed światem w zbroi z dystansu i cynizmu. Tak było w liceum, tak było na studiach. Nawet na asesurze i w pierwszych latach pracy powszechne było przekonanie, że pod tąogą, nieskazitelnym garniturem i kodeksem kryje się wrażliwy i dobry człowiek. Stare dzieje. Zmienił pracę raz, drugi, trzeci, zestarzał się, ostatecznie rozeszły się jego drogi

z tymi, którzy znali go jako młodego człowieka i młodego prokuratora. Zostali ci, którzy nie mieli podstaw podejrzewać, że jego chłód i dystans kryją cokolwiek. A i on musiał ostatnio przed sobą przyznać, że przegapił punkt ostatniej szansy, moment, kiedy zbroja przestała być ochronnym ubraniem, a stała się częścią Teodora Szackiego. Wcześniej mógł ją zdjąć i powiesić na kołku, teraz, niczym cyborg z fantastycznej powieści, umarłby, gdyby odebrano mu sztuczne części.

W tej auli po raz pierwszy poczuł, jak bardzo go jego własna konstrukcja uwiera. Że gdyby mógł jeszcze raz wybrać, wybrałby identycznie, ale dałby sobie spokój z wystudiowaną pozą.

– Rynek pracy jest trudny – kontynuowała wystąpienie nauczycielka – i mam wrażenie, że wielu z was zapunktowało tymi pracami, jeśli będziecie kiedyś szukać zatrudnienia w ministerstwie spraw wewnętrznych lub sprawiedliwości...

– W Szczytnie! – krzyknął ktoś z sali.

Wybuch śmiechu.

– Ty, Muniek to w Barczewie raczej!

Dzika wesołość.

– Mam zaszczyt powitać człowieka, dla którego sprawiedliwość to zawód, ale też, mam nadzieję, powołanie. Pan prokurator Teodor Szacki.

Wstał.

Niemrawe brawa. Jasne, kto by oklaskiwał prokuratora. Przedstawiciela fachu, który zajmuje się głównie włożeniem politykom w dupę albo wypuszczaniem złych przestępców złapanych przez dobrą policję, albo partoleniem postępowań lub aktów oskarżenia. Gdyby znał swój zawód tylko z mediów, chodziłby w wolnych chwilach do sądu, żeby pluć prokuratorom na togi.

Zapiął górny guzik marynarki i pewnym krokiem przeszedł przez aulę do trzech schodków wiodących na podwyższenie. Nie sięgało mu nawet kolan i mógłby na nie wejść jednym krokiem. Ale po pierwsze nie miał ochoty podskakiwać jak małpa, a po

drugie chciał przedefilować przed widownią, żeby zobaczyli, jak się prezentuje ktoś, kto stoi na straży prawa.

Miał na sobie, jak to sam nazywał, „bondowski zestaw”: brytyjska klasyka, która nigdy go nie zawiodła, kiedy chciał zrobić wrażenie. Garnitur w szarym kolorze nieba przed burzą, w prawie niewidoczne jasne prążki, błękitna koszula, wąski grafitowy krawat w delikatny deseń. Poszetka z surowego lnu, wystająca na centymetr z kieszonki marynarki. Spinki i zegarek z matowej stali chirurgicznej. W tym odcieniu, co jego gęste, idealnie siwe włosy. Wyglądał jak ostoja mocy i trwałości Rzeczypospolitej.

Czuł na sobie spojrzenia dziewcząt, które dopiero zdążyły przeobrazić się w kobiety – większość z nich właśnie odkryła, że męski świat nie kończy się na bluzach ich kolegów, wygniecionych marynarkach ojców i pulowerkach dziadków. Że istnieje klasyczna elegancja, która oznacza męską deklarację spokoju i pewności siebie. Sposobem na powiedzenie: moda mnie nie interesuje. Ja byłem, jestem i zawsze będę modny.

Kiedy to wymyślił, jeszcze na studiach, i zdecydował się na brytyjski krój, bliższy jego sercu od włoskiego i amerykańskiego, przyjął za pewnik, że nigdy nie będzie go stać na asortyment z Saville Row, a nawet na *pret-à-porter* z wyższej półki. Musiał więc znaleźć sposób na nadwiślańskie garnitury, które wyglądają jak od Huntsmana albo Andersona i Shepparda. I znalazł. To była chyba najpilniej strzeżona tajemnica prokuratora Szackiego.

Teraz odprowadzały go setki młodych par oczu, niedowierzających, że ten gość, na którym ciuchy leżą lepiej niż na Danielu Craigu, jest pracownikiem budżetówki. Świadomy robionego przez siebie wrażenia, Szacki przeszedł koło nudnego akademickiego obrazu, przedstawiającego jakąś scenę z antyku, i stanął przed mikrofonem.

Powinien powiedzieć coś wesołego, miał wrażenie, że wszyscy tego oczekują: młodzież, nauczyciele, chłopak z drewnianymi filmującymi uroczystości do kroniki szkolnej. Szefowa też by chciała zobaczyć na YouToubie, jak lekko i ze swadą reprezentuje

urząd prokuratorski, w końcu prawdziwy człowiek zamiast sztywniaka recytującego przed kamerami przepisy kodeksu. A i on chciałby się poczuć przez chwilę jedną z osób na sali, przypomnieć sobie, że był kiedyś nawet nie młody – do tego nie tęsknił – ale świeży. Inaczej: niezeepsuty.

Szukał w głowie jakiegoś szkolnego żartu na zagajenie, ale uznał, że nie może zastąpić jednej stylizacji drugą.

Cisza się przedłużała, po sali przebiegł szmer, pewnie kilkadziesiąt osób właśnie szepnęło do sąsiada „ty, ale o co chodzi”. Nauczycielka zrobiła ruch, jakby chciała wstać i ratować sytuację.

– Statystyka jest przeciwko wam – powiedział chłodno. Mocny głos, wyćwiczony w czasie setek rozpraw i mów końcowych, zagrzmiał nad głowami zebranych zbyt głośno, zanim ktoś zareagował i przykręcił poziom dźwięku. – W Polsce każdego roku popełnianych jest ponad milion przestępstw. Pół miliona osób ma przedstawione zarzuty. Co oznacza, że w czasie swojego życia część z was na pewno popełni czyn zabroniony. Najprawdopodobniej coś ukradniecie albo spowodujecie wypadek drogowy. Może kogoś oszukacie lub pobijecie. Ktoś z was pewnie kogoś zamorduje. Oczywiście teraz nie dopuszczacie do siebie takiej myśli, ale większość morderców jej nie dopuszcza. Budzą się jako normalni ludzie, myją zęby, robią sobie śniadanie. A potem coś się dzieje, niefortunny spłot wydarzeń, okoliczności, emocji. I idą spać jako mordercy. Kogoś z was też to spotka.

Mówił spokojnie, przekonująco, jak na sali sądowej.

– Ale statystyka kłamie. – Szacki uśmiechnął się delikatnie, jakby miał dobre wiadomości. – Obejmuje tylko zło ujawnione. Tak naprawdę przestępstw i krzywd jest znacznie więcej. Czasami nigdy nie wychodzą na jaw, ponieważ zbrodnie doskonałe dokonywane są codziennie. Czasami są to rzeczy zbyt drobne, żeby poszkodowani chcieli je zgłaszać. Najczęściej jednak zło ukryte jest za podwójną kurtyną strachu i wstydu. To przemoc w rodzinie. Szkolne prześladowania. Mobbing w firmach. Gwałty. Molestowanie. Czarna liczba krzywd, których nie sposób

policzyć. Was to też spotka. Jedna na pięć spośród siedzących tu dziewczyn będzie ofiarą gwałtu lub próby gwałtu. Będziecie się znęcali psychicznie nad partnerami, będziecie kraść pieniądze niedołężnym rodzicom. Dzieci będą kuliły się w łózkach, słysząc wasze kroki na korytarzu. Wykorzystacie żonę, uznając, że to wasze prawo. Albo będziecie udawali, że krzyki bitych i gwałconych za ścianą was nie dotyczą, że nie ma co się mieszać w sprawy innych.

Zrobił pauzę.

– Nie znam waszych prac i nie wiem, w jaki sposób wyobrażacie sobie zapobieganie przemocy. Ja, jako prokurator, znam tylko jeden sposób.

Nauczycielka patrzyła błagalnie na Szackiego.

– Chcecie zapobiegać przemocy? Nie czyńcie zła.

Odsunął się o krok od pulpitu, dając znak, że skończył. Nauczycielka skorzystała z okazji, szybko weszła na podwyższenie i wywołała uczennicę, która wygrała konkurs. Wiktoria Sendrowska, klasa IIE. Za esej *Przysposobienie do przeżycia w rodzinie*.

Oklaski.

Na podium wskoczyła dziewczyna niczym się nieróżniąca od podobnych jej klonów, które Szacki codziennie mijał na ulicy, taki klon nawet mieszkał z nim pod jednym dachem. Ani wysoka, ani niska, ani chuda, ani gruba, ani brzydka, ani piękna. Ładna, na ile ładne są wszystkie osiemnastolatki, u których defekty urody bywają co najwyżej słodkie. Włosy zebrane z tyłu głowy, okulary. Biały cienki golf na szkolną akademię. Jedyne, co ją wyróżniało, to długa do ziemi, lejąca się spódnica, czarna jak wulkaniczna lawa.

Nauczycielka najpierw zrobiła ruch, jakby chciała dać Szackiemu dyplom do wręczenia, ale zmieniła zdanie, spojrzała na prokuratora z niechęcią i dała oprawioną kartkę dziewczynie. Wiktoria skinęła grzecznie jej i Szackiemu, po czym wróciła na miejsce.

Prokurator uznał, że to dobry moment na zniknięcie, sam się skłonił i wymknął się na korytarz. Ledwie przebiegł pod wiszącą nad drzwiami do auli sceną antyczną – na pierwszym planie stała zadumana i nieszczęśliwa kobieta, najpewniej bohaterka tragedii – w kieszeni zawibrował mu telefon.

Z firmy. Szefowa.

O Zeusie, pomyślał, daj mi jakąś porządną sprawę.

– Już po lekcjach?

– Aha.

– Przepraszam, że panu zawracam głowę, ale mógłby pan pojechać na Mariańską? To chwila, trzeba odfajkować Niemca.

– Niemca?

– Jakies stare zwłoki znaleźli przy okazji robót drogowych. Szacki spojrział na szkolny sufit i zaklął w myślach.

– Nie można wysłać Falka?

– Pinokio słucha w Barczewie. Poza tym wszyscy są w sądzie albo w okręgowej na szkoleniu.

Milczał. Co to za szefowa, która się tłumaczy.

– Mariańska to tam, gdzie prosektorium?

– Tak. Zobacz pan radiowóz na samym dole, koło szpitala. Może pan zanieść te kości na drugą stronę Łyny, wtedy to będzie sprawa południa.

Nie skomentował. Zarządzanie poprzez serdeczność, przyjacielskość i dowcipy zawsze działały mu na nerwy. Wolał po prostu załatwić sprawę. W Olsztynie było wyjątkowo źle, od razu przechodzenie na ty i żarciki, a drzwi do gabinetu Ewy były zawsze tak ostentacyjnie szeroko otwarte, że jej sekretarka musiała cierpieć na chroniczne przeziębienie.

– Pojadę – powiedział tylko i się rozłączył.

Włożył i zapiął płaszcz. Niby blisko zaparkował, ale ten lód spadający z nieba był jak biblijna plaga.

– Panie prokuratorze?

Odwrócił się. Za nim stała Wiktoria Sendrowska, uczennica klasy IIE. Trzymała swój dyplom jak tarczę. Milczała, nie

wiedział, czy oczekuje gratulacji, czy jakiegoś zagajenia. Nie miał jej nic do powiedzenia. Przyjrzał się dziewczynie. Ciągłe niczym się nie wyróżniała, oczy miała bardzo duże, jasne, w bladobłękitnym odcieniu lodowca. I bardzo poważne. Być może wydałaby mu się interesująca, gdyby nie to, że miał szesnastoletnią córkę. Już dawno życie przestawiło w jego głowie jakiś przełącznik i przestał kompletnie zwracać uwagę na młode kobiety.

– Te krzyki bitych i gwałconych za ścianą.

– Tak?

– Nie miał pan racji. Niezawiadomienie o przestępstwie jest karalne, ale tylko w wyjątkowych wypadkach, jak zabójstwo albo terroryzm. Gwałcić można na stadionie przy pełnych trybunach i dla widzów będzie to co najwyżej moralnie naganne.

– Akurat w wypadku gwałtu można uznać, że czterdzieści tysięcy widzów brało udział w zamachu na wolność seksualną razem ze sprawcą i przykleić im wszystkim gwałt zbiorowy. Nawet lepiej, wyższa sankcja. Chce mnie pani przepytować z kodeksu?

Odwróciła wzrok zakłopotana. Zareagował zbyt ostro.

– Wiem, że zna pan kodeks. Byłam ciekawa, dlaczego pan tak powiedział.

– Nazwijmy to zaklinaniem rzeczywistości. Uważam, że artykuł dwieście czterdziesty powinno się rozszerzyć o przemoc domową. Zresztą tak to działa w prawodawstwie kilku krajów. Uznałem, że w tym wypadku lekka przesada ma wartość edukacyjną.

Dziewczyna skinęła głową jak nauczycielka, która wysłuchała dobrej odpowiedzi.

– Fajnie powiedziane.

Szacki uklonił się i wyszedł. Marznąca mżawka uderzyła go w twarz jak strzał ze śrutówki.

Z daleka wyglądało to jak scenografia modowej sesji fotograficznej, takiej w stylu industrial. Na trzecim planie z mroku wyłaniał się ciemny budynek ponemieckiego szpitala miejskiego. Na drugim planie żółta koparka pochylała się nad dziurą w ziemi, jakby zaglądając do niej z zaciekawieniem, a tuż obok stał radiowóz. Światła latarni i reflektory policyjnego auta ryły tunele w gęstej, warmińskiej mgle, rzucały dziwne cienie. Trzech mężczyzn obok radiowozu patrzyło na głównego bohatera kadru, doskonale ubranego siwego mężczyznę, który stał w otwartych drzwiach kanciastego citroëna.

Prokurator Teodor Szacki wiedział, na co czekali stojący przed nim inżynier, mundurowy policjant i nieznany mu młody dochodzeniowiec. Czekali, aż wypiękniiony urzędas z prokuratury w końcu grzmotnie dupą o trotuar. Faktycznie, z trudem utrzymywał równowagę na chodniku z polbruku, który pokryty był – podobnie jak wszystko – warstwą lodu. Sytuacji nie ułatwiało to, że Mariańska biegła lekko pod górę, a jego pantofle do robienia wrażenia na licealistach teraz zachowywały się jak łyżwy. Bał się, że runie, jak tylko puści drzwi samochodu.

Jego obecność, podobnie jak policji, była formalnością. Prokuratora wzywało się właściwie do wszystkich zgonów pozaszpitalnych, kiedy pojawiała się wątpliwość, czy śmierć nie jest wynikiem czynu zabronionego, i trzeba było zadecydować, czy wszczynać śledztwo. Oznaczało to, że czasem musieli się tłuc na jakąś budowę drogi albo do żwirowni, gdzie znaleziono kości sprzed stu lat. W Olsztynie nazywano to „odfajkowaniem Niemca”. Niewdzięczny i czasochłonny obowiązek, często wyprawa na drugi koniec powiatu i brodzenie w błocie po kostki. Tutaj przynajmniej Niemiec leżał sobie w środku miasta.

Formalność. Szacki mógł ich zawołać, żeby powiedzieli co i jak, potem wypełnić kwity w ciepłym gabinecie.

Mógł, ale nigdy tak nie postąpił, i uznał, że jest za stary na zmianę przyzwyczajęń.

Wypatrzył na ziemi grudki oblodzonego błota, które rozdeptane, powinny dawać przyczepność. Stanął na jednej i delikatnie zamknął drzwi auta. Potem w czterech dziwacznych krokach dotarł do koparki i złapał się jej ubłoconej łyżki, z trudem powstrzymując uśmiech tryumfu.

– Gdzie zwłoki?

Młody dochodzeniowiec wskazał dziurę w ziemi. Szacki spodziewał się wystających z błota kości, tymczasem w jezdni ziała czarna jama, z której wystawał koniec aluminiowej drabinki. Oblodzonej jak wszystko. Nie czekając na dodatkowe informacje, zlął do wnętrza. Cokolwiek tam czekało, na pewno było lepsze od zamarzającego deszczu.

Zszedł po omacku na dół, w dziurze pachniało mokrym betonem, po kilku stopniach stanął na mokrym, twardym podłożu. Otwór, z którego zaciął zamarzający deszcz, miał pół metra nad sobą, mógł sięgnąć ręką do stropu. Zdjął rękawiczki i przejechał po nim ręką. Zimny beton, ze śladami po szalunku. Schron? Bunkier? Magazyn?

Odsunął się, robiąc miejsce dla schodzącego dochodzeniowca. Policjant włączył latarkę, drugą wręczył Szackiemu. Prokurator zapalił ledowe światło i obrzucił spojrzeniem towarzysza. Młody, około trzydziestki, z zupełnie niedzisiejszymi wąsami. Przystojny prowincjonalną przystojnością zdrowego chłopskiego syna, który wyszedł na ludzi. O smutnych oczach przedwojennego działacza ludowego.

– Prokurator Teodor Szacki.

– Podkomisarz Jan Paweł Bierut – przedstawił się policjant i posmutniał, oczekując zapewne na żarcik, jaki zwykle słyszał w takiej sytuacji.

– Nie kojarzę pana, ale jestem tu dopiero dwa lata – powiedział Szacki.

– Z drogówki niedawno przyszedłem.

Szacki nie skomentował. Zmorą prokuratorów była rotacja wśród dochodzeniowców. Nie trafiały tam nigdy żadne żółtodzioby, tylko oficerowie, którzy już odsłużyli swoje, przede wszystkim w operacyjnym. W większości przekonywali się, że robota w śledztwach nie przypomina bycia detektywem z amerykańskiego filmu, a że wkrótce potem mogli przejść na mundurową emeryturę, skwapliwie z tego korzystali. Łatwiej dziś było o doświadczonego dzielnicowego niż oficera śledczego.

Bierut bez słowa odwrócił się na pięcie i ruszył w głąb korytarza. Zwykłego betonowego korytarza, który mógł być pozostałością po wszystkim, nie miało to dla Szackiego większego znaczenia. Po kilkunastu krokach boczne ściany zniknęły i znaleźli się w sklepionej sali o kształcie kwadratu, wysokiej na nieco ponad dwa metry, długiej na piętnaście. W jednym kącie piętrzyły się zardzewiałe graty, szpitalne łóżka, krzesła i stoliki. Bierut minął stertę i podszedł do przeciwległej ściany. Stało tam kompletne łóżko, białe w kilku miejscach, gdzie nie zeszła emalia, poza tym pomarańczowe od rdzy. Na ramie leżał czarny od wilgoci kawał dykty, a na dykcie stary szkielet. Dość kompletny, na ile Szacki mógł się rozeznąć, choć kości były częściowo wymieszane, być może przez szczury, a część leżała na ziemi. Czaszka w każdym razie była calutka, z prawie pełnym uzębieniem. Wzorcowy Niemiec.

Szacki zacisnął usta, żeby nie westchnąć głośno. Od miesięcy czekał na jakąś sensowną sprawę. Może trudną, może kontrowersyjną, może nieoczywistą. Pod jakimkolwiek względem, dochodzeniowym, dowodowym, prawnym. I nic. Z poważniejszych rzeczy miał dwa morderstwa, jeden rozbój i jeden gwałt w Kortowie. Wszystkich sprawców ujęto zaraz następnego dnia po zdarzeniu. Morderców, bo byli z najbliższej rodziny. Rozbójnika, bo miejski monitoring nagrał go nieomal w jakości HD. Gwałticiela, bo koledzy z akademika go najpierw poturbowali, a potem doprowadzili na policję – znak, że jednak coś się zmienia w narodzie. Nie dość, że wszyscy sprawcy zostali

zatrzymani tego samego dnia, to wszyscy się od razu przyznali. Ze szczegółami złożyli wyjaśnienia i Szacki o szesnastej mógł iść do domu, tętno mu nie podskoczyło ani o dziesięć uderzeń.

A teraz Niemiec. Na deser po szkolnej akademii.

Bierut spojrzał na niego pytająco. Nic nie mówił, bo też nic nie było do powiedzenia. Na twarzy miał wyraz takiego smutku, jakby kości należały do członka jego rodziny. Jeśli policjant miał tak cały czas, to koledzy z Partyzantów pewnie przekazują sobie numery do terapeuty, który wyciągnie ich z depresji.

Nic tu nie było do roboty. Omiótł pomieszczenie latarką, trochę z rutyny, a trochę dlatego, że chciał przedłużyć ten moment, pod ziemią było znacznie cieplej niż na górze i nie atakowały go żadne zjawiska atmosferyczne.

Nic ciekawego. Puste ściany i wyloty korytarzy, sądząc po architekturze, pomieszczenie było starym schronem, zapewne dla personelu i pacjentów szpitala. Gdzieś muszą być zasypane wejścia, sanitariaty, może jeszcze kilka takich sal, jakieś pokoje.

– Sprawdziliście resztę pomieszczeń?

– Pusto.

Ciekawe, jak to wyglądało, pomyślał. Ewakuowali ich na czas jakiegoś ostrzału pod sam koniec wojny, potem ten umarł, a reszta wyszła? Za dużo się działo, żeby pamiętać o jednych zwłokach pod ziemią? Czy może już po wojnie ktoś się tutaj ukrył i serce mu wysiadło w czasie drzemki?

Podszedł do szczątków i przyjrzał się czaszce. Żadnych widocznych uszkodzeń, charakterystycznych wgłębień lub dziur po uderzeniu tępym narzędziem, o ranach postrzałowych nie wspominając. Wygląda na to, że jeśli ktoś pomógł się Niemcowi przenieść na tamten świat, to nie w ten sposób. Tak czy owak śmierć nie uratowała go przed wojennym lub powojennym szabrem.

– Nie miał ubrania. – Jan Paweł Bierut czytał w jego myślach.

Szacki twierdząco skinął głową. Nawet zakładając, że gryzonie i robaki zjadły, co było do zjedzenia, to i tak powinny

zostać jakieś strzępy, sprzączki, klamerki, guziki. Ktoś musiał się obsłużyć zaraz po śmierci, jeszcze zanim ubranie wtopiło się w rozkładającą się tkanę.

– Zabezpieczcie te szczątki i zawieźcie na uniwersytet. Napiszę postanowienie o przekazaniu. Niech się jeszcze Niemiec na coś przyda.

Stara warszawska praktyka. Żaden NN nigdy nie trafił do ziemi. Po pierwsze: szkoda pieniędzy podatnika, po drugie: uczelnie medyczne są w stanie przerobić każdą ilość zwłok. Stare gnaty są dla nich warte więcej niż kość słoniowa.

5

Nie spieszyło mu się do domu. Zajrzał jeszcze do biura, napisał szybko postanowienie o przekazaniu zwłok dla celów dydaktycznych, żeby mieć to z głowy. Ze swojego gabinetu w budynku prokuratury rejonowej Olsztyn-Północ przy Emilii Plater prawie mógł zobaczyć miejsce, gdzie pół godziny wcześniej schodził do starego schronu.

W ogóle ze swojego gabinetu miał niezły widok. Bezosobowy budynek stał na szczycie skarpy, pod którą płynęła wąska Łyna, od której Olsztyn wziął swoją nazwę. Oczywiście poprzednią nazwę, kiedy rzeka nazywała się *Alle*, a miasto *Allenstein*. Wokół koryta rozciągały się dzikie chaszcze, które tylko naprawdę bez pamięci zakochani w swoim mieście olsztynianie nazywali parkiem. Szacki nazywał je czarną zieloną dziurą i z parkiem miały one jego zdaniem tyle wspólnego, co pożar z ogrzewaniem mieszkania. Po zmroku nie zapuściłby się tam nawet z obstawą, ponieważ przeczuwał, że czarna zielona dziura jest zamieszkała nie tylko przez żuli, rozbójników i chętnych do dokonania zamachu na wolność seksualną. Jedyne powód, dla którego coś takiego mogło się uchować w samym centrum wojewódzkiej stolicy, to siły nieczyste.

Teraz zmuszone do odwrotu przez buldożery, ponieważ dziurę właśnie zaczęto rewitalizować. Biorąc pod uwagę, że w Olsztynie słowo „upiększanie” brzmiało jak groźba, zapewne wyrwą wszystko z korzeniami i na tym miejscu ułożą gigantyczną mozaikę z różowej kostki, a potem będą się chwalić, że to jedyna konstrukcja z polbruku widoczna gołym okiem z kosmosu.

– *They paved Allenstein and put up a parking lot* – zanucił, przybijając pieczętę.

Ważne, że mu nie wybudują tutaj żadnych różowych hoteli i dalej będzie miał swój widok. Wstał, założył płaszcz i zgasił światło. Za oknem czerni zielonej dziury oddzielała go od miasta. Na wprost rzęsiście oświetlona katedra górowała nad zabudowaniami starówki, jak wielka kwoka zagarniająca stado kurczaków. Po prawej nad dachami wybijała się baszta gotyckiego zamku i wieża zegarowa ratusza. Po lewej Olsztyn schodził w dół i to tam, tuż za zieloną dziurą, mieścił się stary szpital miejski i schron, który chwilę temu przestał być miejscem wiecznego spoczynku dla pana Niemca.

Przestało padać, podniosła się lekka mgła i boczna uliczka Emilii Plater zamieniła się w marzenie fotografa, przygotowującego album o warmińskiej melancholii. Wszystko było czarno-szare, jak to pod koniec listopada, wszystko pokryte cieniutką warstwą lodu. Na chodniku wyglądało to jak zagrożenie życia i zdrowia, ale na bezlistnych drzewach efekt był bajkowy. Każda najdrobniejsza gałązka zamieniła się w sopelek, który mienił się w miękkim, rozproszonym przez mgłę świetle latarni. Odetchnął głęboko zimną wilgocią i pomyślał, że lubi tę wiochę coraz bardziej.

Ostrożnie przeszedł na drugą stronę ulicy i pomyślał, że muszą się przeprowadzić. Po pierwsze, nieprzyjemnie perwersyjny był fakt, że mieszkał dokładnie naprzeciw pracy. Jak kiedyś skrupulatnie policzył – trzydzieści dziewięć kroków. Po drodze nie miał czasu się osadzić, uspokoić myśli, przestawić na tryb domowy. Po drugie, nie cierpiał tej ponurej ponemieckiej willi, kiedyś domu dyrektora prywatnej kliniki ginekologicznej,

znajdującej się po drugiej stronie płotu, dziś domu młodości. Niestety dyrektor chciał być nowoczesny i zamiast normalnej chałupy postawił ciężkiego kłosa, modernistyczne monstrum, monumentalne na tyle, na ile dom jednorodzinny może być monumentalny. Starczy powiedzieć, że tradycyjną balustradkę przy schodach wejściowych zastępowała zadaszona kolumnada. Szacki żartował sobie, wywieszając niedawno flagę na święto niepodległości, że powinni zatrudnić kogoś, żeby stał na baczność z zapaloną pochodnią.

Na dodatek ostatnimi czasy naprawę potrzebował chwili, żeby przygotować się psychicznie na to, co go czeka. Dlatego postanowił dać sobie jeszcze moment i zamiast wejść od razu do domu, okrążył willę, przeszedł przez lodowy ogród i zajrzał do kuchni, starając się stać poza padającym z okna światłem. W płaszczu i z aktówką wyglądał jak jakiś podglądacz zbrodni z lat siedemdziesiątych.

Oczywiście duża obrażona jędrza i mała obrażona jędrza doskonale się razem bawiły, dawno to już zauważył. Duża jędrza kreśliła coś na ogromnej płachcie brzości, zapewne rozmieszczenie gości na kolejnym weselu. Mała siedziała na wysokim taborecie, machała nogami i opowiadała coś z przejęciem, gwałtownie gestykulując. Duża podnosiła głowę, zaciekawiona, w końcu wybuchnęła śmiechem.

– Cholerne modliszki – szepnął Szacki.

W Olsztynie mieszkał ponad dwa lata, z Żenią spotykał się niewiele krócej, od ponad roku mieszkali razem. Jego pierwszy poważny związek od rozstania z Weroniką przed ponad sześcioma laty. Dobry związek, udany, fajny. Nie bał się użyć słowa: szczęśliwy.

Mimo różnych przeszkód i drobnych perturbacji dogadywał się też z Helcią, która przyjeżdżała do nich raz na krócej, raz na dłużej. Ostrożnie przyzwyczajał się do myśli, że może jeszcze będzie miał normalne życie, co przez długie lata nie było wcale takie oczywiste.

Dlatego kiedy wielki scenarzysta zdecydował się na zwrot akcji, czuł bardziej ekscytację niż niepokój. Mąż Weroniki dostał stypendium na politechnikę w Singapurze, a ona zdecydowała się na przygodę życia. Uznała również, że skoro jej nabuzowana hormonami córka akurat skończyła gimnazjum, to nowy szczebel edukacji może połączyć z umacnianiem relacji z ojcem. Zareagował na tę propozycję entuzjastycznie, na co jego była żona najpierw długo milczała, a potem zaśmiała się ciężkim, gorzkim śmiechem doświadczonej kobiety.

I tak oto pod koniec sierpnia przywiózł zaryczaną i rozhisteryzowaną Helenę Szacką do Olsztyna, żeby mogła kształcić się w II LO, niemającym tak ładnej siedziby jak ogólniak Wiktorii Sendrowskiej, ale za to chlubiącym się mianem najlepszej szkoły w województwie. Hela oczywiście wygrzebała złośliwie właściwe rankingi, aby mu pokazać, że szczyt podium na Warmii i Mazurach oznacza w Polsce miejsce osiemdziesiąte drugie, a przed legendarną i hołubioną tutaj „dwójką” zmieściło się dokładnie dwadzieścia pięć szkół warszawskich.

Potem było już tylko gorzej.

Dwie kobiety jego życia zamieniły się w dużą obrażoną ję-dzę i małą obrażoną ję-dzę. Funkcjonujące normalnie, dopóki nie pojawił się w polu widzenia, kiedy to zaczynały ze sobą walczyć o jego uwagę jak Justyna Kowalczyk i Marit Bjørgen o metryśnięgu. Rozumiał, że to on coś robi źle, ale nie miał pojęcia co. I był w tej emocjonalnej matni zupełnie bezradny.

Zdrętwiała mu noga. Zmienił pozycję i stało się to, co musiało się stać: chwilę tańczył w miejscu, po czym runął na zamrożone różane krzaki.

Okno od kuchni uchyliło się momentalnie.

– Jerzy? – spytała przestraszona Żenia.

Jerzy był kiedyś mężem Żeni, prześladował ją po rozwodzie, dostał nawet za to jakieś małe zawiasy.

– To ja. Chciałem się przejść po ogrodzie. – Szacki gramolił się, posykując, bo różane kolce poraniły mu dłonie.

– Aha. – Chłód zastąpił strach w jej głosie. – Zawsze myślałam, że to Jerzy jest pojebany. Ale może to ze mną jest coś nie tak, skoro wszyscy moi faceci chowają się po krzakach.

– Daj spokój. Spójrz, jak jest ładnie. Powietrza trochę chciałem złapać.

– Tato? – Słaby głosik dobiegł nieoczekiwanie z okna na górze, musiała się tam teleportować chyba, skoro dopiero co siedziała w kuchni.

Hela miała minę jak dziecko z filmu dokumentalnego o sierocińcach Trzeciego Świata.

– Cześć, kochanie. Wszystko w porządku?

– Trochę źle się czuję. Tato, możemy porozmawiać? Przyjdiesz?

Żenia zamknęła kuchenne okno bez słowa.

Powiesił płaszcz i poszedł do kuchni uściskać Żenię. Faktycznie siedziała nad listą gości; sądząc po układzie stolików, wesele miało się odbyć w jakiejś nietypowej przestrzeni.

– Gdzie to?

– Tratwy na Wulpińskim. Wesele połączone z kupałnocką. Masakra, cały czas wyobrażam sobie zwłoki unoszące się na falach. Muszę wpisać chyba prohibicję w umowę. Chcesz swój makaron z wczoraj, przegryzł się... – Zawahała się, jakby chciała powiedzieć, że mu zostawiły, ale to by oznaczało przyznanie, że zjadły razem obiad. – Za ostry trochę dla mnie – dokończyła.

– Wstaw, pójde do Heli.

– Aha, ale wrócisz o jakiejś konkretnej porze, czy mogę iść na basen?

Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma na żaden basen najmniejszej ochoty. Jedynie daje do zrozumienia, jak bardzo będzie skrzywdzona i rozczarowana, jeśli kolejny wieczór spędzi sama.

– Zaraz będę.

W pokoju Heli paliła się tylko lampka nocna, jego szesnastoletnia córka leżała na łóżku, nakryta cienką kurtką, jakby to było jedyne dostępne jej okrycie.

– Posiedzisz ze mną?

Usiadł przy niej.

– Coś ci jest?

– Głowa mnie boli. To chyba ten klimat. Wiesz, że pruscy żołnierze mieli tutaj dodatek za pracę w trudnych warunkach? Wilgoć niszczyła im zdrowie. Nie mogę się skupić przez to na nauce.

Poczuł irytację. Już chciał wybuchnąć, że ta barwna anegdota dotyczy Wrocławia, a po drugie, na jakiej, do jasnej cholery, nauce, dopiero co rozwijała się towarzysko w kuchni. Ale uciekł od otwartego konfliktu. Nie potrafił znaleźć żadnego rozsądnego środka w rozmowach z córką, kiedy dochodziło do sytuacji spornych, zwłaszcza emocjonalnie trudnych, które wymagałyby szczerzej i poważnej rozmowy. Albo uciekał w agresję, albo wycofywał się w jakieś pogawędki o niczym, rozmowy wedle schematu „jak tam w szkole – fajnie – to super”.

– A co masz do nauki?

– Musimy zrobić projekt, prezentację o polskim naukowcu.

– Kopernik czy Skłodowska?

Wyprostowała się, dość dziarsko jak na osobę, której trzy miesiące w Olsztynie zrujnowały zdrowie, zainfekowały stawy reumatyzmem.

– No właśnie wołałabym nie. Znalazłam w internecie różne projekty warszawskie i prezentację o Wolszczanie. Kojarzysz, to ten...

– Kojarzę.

– Pokażę ci zresztą.

Sięgnęła po komputer.

– Ale nie chcę o Wolszczanie. Tu jest taki dokument, spójrz...

– Prawdę mówiąc... mój makaron... – Brakowało tylko, żeby zaczął się jąkać. Gdyby ktoś nagrał tę scenę i wrzucił do

internetu, wielu osadzonych przez prokuratora Teodora Szackiego w polskich zakładach karnych tarzałoby się ze śmiechu.

Spojrzała na niego, trochę z niedowierzaniem, trochę pytająco. Jej matka zawsze tak na niego patrzyła.

– Maria Janion? – zapytał w końcu z uprzejmym zainteresowaniem.

– Wybitna naukowiec. Kobieta. I lesbijka. Pomyślałam, że przyda się na wsi trochę gender. Pokażę ci fragment tego filmu, chciałabym zacząć od tego. Tak się podniecam, ale muszę w nowej szkole się wybić trochę na początku. Rozumiesz?

Na dole trzasnęły drzwi.

Prokurator Teodor Szacki pomyślał, że to będzie długi wieczór.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca